

## 5.

Opiekun chwycił torbę i wszedł do środka. Pobiegłem w jego kierunku, krzycząc, że należy do mnie. Była ostatnią rzeczą, która należała do mnie. Wszystko inne straciłem. Rodziców, dom, zabawki. Teraz brakowało mi nawet przedmiotów, których jeszcze miesiąc temu nie potrzebowałem. Została mi jedynie ta torba z kilkoma ciuchami. Dostałem ją od taty i nie chciałem jej stracić. Na pewno byłby smutny, gdyby dowiedział się, gdzie trafiłem, i przyjechałby po mnie. A wtedy nie umiałbym przyznać mu się, że pozwoliłem na jej utratę.

Chwyciłem za nią i zacząłem szarpać. Opiekun, który ją trzymał, starał się mnie uspokoić. Coś mówił, ale nie słyszałem co. Najważniejsze było dla mnie ocalenie torby. Zacząłem płakać, histerycznie ją ciągnąc. Mężczyzna puścił ją i schylił się, próbując spojrzeć mi prosto w oczy.

– Kacper – zaczął – słyszysz? Kacper, uspokój się.

Stałem naprzeciw niego bez słowa. Przytulałem torbę do klatki piersiowej.

– Nie zabiorę jej. Daję ci moje słowo.

Zrobiłem krok do tyłu i ścisnąłem ją jeszcze mocniej.

– Wezmę ją do twojego nowego pokoju, a ty w tym czasie zostaniesz oprowadzony po całym domu. Potem

wrócisz do swojego pokoju, a tam ona będzie już na ciebie czekała. Daję ci słowo.

– Jest moja. Nie zabierzesz mi jej!

– Wiem, jest twoja i zostanie twoja – powiedział mężczyzna.

Spojrzałem na niego błagalnym wzrokiem. Czekał ze spokojem na moją decyzję, a ja nie miałem pojęcia, co zrobić. Nie znałem go, ale nie miałem wyjścia, musiałem mu zaufać. Spuściłem więc głowę i zacisnąłem zęby. Położyłem ją na podłodze i zrobiłem krok do tyłu.

– Dziękuję – powiedział z uśmiechem.

Dyrektorka sierocińca zaprowadziła mnie do gabinetu lekarskiego, gdzie musiałem przejść rutynowe badania.

– Nasz lekarz Marek teraz cię zbada. Zrób wszystko, o co będzie cię prosił – powiedziała bardziej oschle niż na początku naszego spotkania i wyszła.

Każde dziecko, które do nich trafiało, musiało przejść badanie.

Pokój, w którym się znalazłem, był mały. Na jego środku stało wielkie biurko z małym krzesłem przed nim. Lekarz, nie patrząc w moją stronę, kazał mi na nim usiąść. Białe ściany gabinetu potęgowały wrażenie chłodu.

Mężczyzna wypytywał mnie o dane i zapisywał wszystko skrupulatnie w nowo założonej kartotece podpisanej „Kacper Zborowski”. Siedziałem tam godzinę, odpowiadając bez namysłu i wpatrując się w oszkloną witrynę za nim. Po kilku pytaniach mężczyzna pobrał próbkę moczu.

W którymś momencie lekarz chwycił za telefon i wybrał jakiś numer.

– Skończyłem, możesz go zabrać.

Chwilę później w drzwiach pokazała się dyrektorka. Wyłoniła się, wciskając między futrynę a drzwi najpierw głowę. Weszła bez pukania, ale nieśmiało, jak gdyby nie chciała nam przeszkadzać. Lekarz w tym czasie skończył pobierać mi krew.

– Mogę go już zabrać? – zapytała.

Kiwnął głową twierdząco, wpatrując się w igłę wychodzącą z mojej chudej ręki.

– Tak, już jest gotowy.

Mężczyzna wyciągnął z mojej dłoni igłę stanowczym pociągnięciem. Kobieta podeszła i chwyciła mnie za rękę.

– Idziemy!

Kolejną godzinę spędziłem na poznawaniu obiektu. Dyrektorka najpierw pokazała mi sale lekcyjne i świetlicę, a potem poszła na piętro, gdzie znajdowały się pokoje dzieci. Chodziłem za nią, pocierając co chwilę bolące miejsce po pobieraniu krwi. Kobieta cały czas cytowała regulamin, jakby chciała mi go wryć w pamięć. Nie słuchałem jej, chociaż zawsze na końcu zdania słyszałem „czeka kara”. Nie interesowało mnie, jakie reguły tam panują, ich znajomość nie była mi potrzebna. Nie chciałem tam zostawać długo. Tata tylko musiał dowiedzieć się, gdzie jestem.

Zastanawiałem się, kiedy wróci do domu i zauważy, że mnie nie ma. Wtedy na pewno przyjedzie mnie zabrać. Byłem pewien, że przyjedzie.

Moja wycieczka po sierocińcu zakończyła się na pierwszym piętrze przed pokojem numer dwadzieścia.

– Jeśli nie dostosujesz się do którejś z naszych reguł, czeka cię kara. Każda kara będzie przeprowadzana u mnie w biurze. – Kobieta założyła ręce do tyłu. – Tutaj będzie twój pokój. Będziesz go dzielił z trzema sympatycznymi chłopakami. Na pewno się polubicie. Jeśli będziesz przestrzegał regulaminu, na pewno ci się tu spodoba. Oficjalnie witam cię w Domu Dziecka imienia Ojca Sergiusza.

Nie powiedziałem nic. Od razu wszedłem do pokoju, by sprawdzić, czy – tak jak obiecał opiekun – znajduje się tam moja torba.

Pokój był ciasny. Piętrowe łóżka stały po lewej i prawej stronie. Przypominał trochę więzienie. Torba leżała na środku pomieszczenia.

Usiadłem na łóżku po prawej stronie i położyłem swój pakunek na kolanach. Czekałem tak na moich nowych współlokatorów, licząc, że powiedzą mi, które łóżko będzie należeć do mnie. Wszystkie szafki były przez nich już zajęte. Siedziałem przepelniony strachem. Patrzyłem cały czas w podłogę, zastanawiając się, kiedy tata dowie się, gdzie trafiłem.

Do pokoju weszło troje dzieci rozmawiających o dziecku, które niedawno do nich przyjechało. Mówili o mnie. Zamilkli, kiedy zauważyli, że tam jestem. Jeden z nich zrobił krok do przodu, pokazując grymas niezadowolenia.

– To jest moje łóżko – powiedział, zaciskając pięści.

– Przepraszam, ja nie wiedziałem.

Wstałem i zrobiłem krok do tyłu. Potknąłem się o nogę łóżka i straciłem równowagę. Przewróciłem się na grzejnik pod parapetem, który był za mną. Nie wiedziałem, czego się spodziewać.

– Co tu robisz?

– Mam tutaj z wami spać. Powiedziała mi to dyrektorka.

– A... Pani T. – zaśmiał się. – Ty jesteś ten nowy. Nie będziesz z nami dzielił pokoju. Nie ma tu dla ciebie miejsca.

– To gdzie mam spać?

– Wracaj do swoich rodziców. Czemu tu przyszedłeś? Nie chcieli cię?

Usiłowałem powstrzymać łzy. Chłopak postąpił kolejny krok w moją stronę. Zaciśnął zęby, jakby powstrzymywał się, żeby mi coś zrobić.

– Nic dziwnego, że cię zostawili. Też bym to zrobił, jakbyś ryczał. Czego beczysz?

– Jestem tutaj, bo moja mama nie żyje.

– Zabiła się, żeby nie musieć cię widzieć? A stary? Też się zabił?

– Taty nie ma. Zniknął, ale jak się dowie, gdzie jestem, wróci. Na pewno wróci.

Chłopak podszedł bliżej mnie. Dzielił nas metr.

– Ile masz lat, knypku? – zapytał.

– Sześć.

– Ale z ciebie dzieciak... My mamy siedem. Śpisz dzisiaj na podłodze.

– Macie przecież cztery łóżka.

– Głupi jesteś i śpisz na podłodze. Jeśli nie, to ci przywalę.

– Kto śpi na czwartym łóżku? – zapytałem.

Chłopak uderzył mnie otwartą dłońią. Policzek zapiekł. Jeszcze nigdy nie czułem takiego bólu. Jeszcze nigdy nikt mnie nie uderzył.

– Na twoim łóżku będą dzisiaj moje ciuchy. Zrozumiano?

– Mhm. – Kiwnąłem głową.

Po policzku spłynęły mi łzy. Usłyszałem śmiech dwóch chłopaków w tyle.

– Patrzcie, dzieciak się popłakał.

To był dla mnie straszny dzień. Zrozumiałem, że sierociniec stanie się dla mnie piekłem. Wziąłem swoją torbę i położyłem pod kaloryfer, gdzie znalazłem trochę miejsca. Chłopcy stali bez ruchu i patrzyli, co robię. Nie miałem pojęcia, jak się zachować, byłem zmieszany. Spuściłem głowę. Dopiero wtedy moi współlokatorzy przestali na mnie zwracać uwagę i zaczęli ze sobą rozmawiać, jakby mnie tam w ogóle nie było.

Głośnik wiszący w narożniku naszego pokoju pisnął, po czym odezwał się głos dyrektorki:

– Wszystkie dzieci zapraszam do świetlicy na film familijny.

Jej wypowiedź zakończyła się ponownym piskiem, jak w starej rozgłośni radiowej. Trójka chłopców bez słowa wyszła z pokoju. Poczekałem chwilę, po czym udałem się za nimi. Na korytarzu, który jeszcze chwilę temu świecił

pustkami, zrobiło się ciasno. Mimo tłumu szedłem sam schodami na parter. Czułem się jak trędowaty. Każdy, kto przechodził obok mnie, zerkał. Kiedy odwzajemniałem spojrzenie, odwracał głowę w drugą stronę.

Dwuskrzydłowe drzwi świetlicy były otwarte na oścież. Nie było krzeseł, wszystkie dzieci siedziały na podłodze w grupkach. Nie miałem złudnych nadziei, że któraś mnie zaprosi. Usiadłem pod ścianą przy wejściu do świetlicy, tak aby nikomu nie przeszkadzać. Dzieci z każdą sekundą przybywało. Próbowałem je policzyć, ale nie byłem w stanie. Po chwili wahania każdy odnajdywał swoją grupę.

Na początku sali, tuż obok rzutnika stanęła dyrektorka sierocińca. Powiedziała kilka słów o filmie. Nie pamiętam, co dokładnie mówiła. Zwracałem uwagę na coś innego.

Do sali weszło jeszcze trzech chłopców. Pierwszy z nich stanął na palcach i rozejrzał się po całej sali. Przypadkiem spojrzał na mnie. Zawahał się i po chwili usiadł obok. Pozostała dwójka również usadowiła się pod ścianą przy wejściu. Niedługo doszedł czwarty. Chłopak, który pierwszy do mnie podszedł, popatrzył na mnie i zmarszczył brwi, jakby starał się coś sobie przypomnieć.

– Jesteś nowy? – zapytał.

– Tak.

– Dzisiaj tu przyjechałeś, prawda?

– Tak.

– Jestem Piotrek, a ty?

Spojrzałem na niego z niepewnym uśmiechem. To była pierwsza osoba, która się do mnie odezwała po ludzku.

– Cześć, jestem Kacper.

Chłopak odwzajemnił uśmiech. Trójka dzieci, która siedziała tuż obok mnie, także się przywitała.

– Co ci się stało? Czemu masz czerwony policzek?

– Nic. Nic się nie stało.

– Nie wkurzaj mnie, tylko powiedz – uniósł się Piotrek.

– To przez tych, z którymi muszę od dzisiaj spać. Jeden z nich powiedział, że mam spać na podłodze, i mnie uderzył.

– Który?

Rozejrzałem się po sali i po sekundzie wahania wskazałem grupkę dzieci kilka metrów dalej. Piotrek patrzył na nich przez dłuższą chwilę, po czym podszedł do chłopaka, który podniósł na mnie rękę, i coś mu powiedział, grożąc palcem.

Wrócił do mnie i usiał obok. Przegadaliśmy cały film. Pytał mnie o to, jak tutaj trafiłem i dlaczego nie mam rodziców. Zaufałem mu i opowiedziałem swoją historię. Tego wieczoru postanowiliśmy trzymać się razem.

Kiedy skończył się seans, poszedłem do pokoju i czekałem przy oknie na moich współlokatorów. Nie musiałem długo czekać, wrócili zaraz po mnie.

Jeden z nich natychmiast się zbliżył.

– Słuchaj, głupku! Nie wiedziałem, że jesteś kablem. Nikt tutaj takich nie lubi.

Milczałem, przysuwając się jak najbliżej parapetu. Gdyby to nie było pierwsze piętro, chętnie bym stamtąd wyskoczył przez okno.



– Dobra... śpisz na łóżku. – Pokazał palcem na puste miejsce. – Ale pamiętaj... To nie koniec. Nikt z nas cię nie lubi. Prędzej czy później, jeśli będziesz kablował, oberwiesz. Pamiętaj, nikt ci w naszym pokoju nie pomoże. Jesteś sam.

## 6 .

Siedziałem w samochodzie naprzeciwko szarej piętrówki. Zamiast od razu podejść, zastanawiałem się, czy istnieje jakiegokolwiek inne wyjście niż rozmowa z matką Lucjana. Włamać się? Podczas rozmowy z Lindą sprawa wydawała mi się prosta. Musiałem wreszcie coś zrobić zamiast użalać się nad sobą. Wykonać pierwszy krok.

Nie spuszczałem wzroku z domu, płotu dzielącego ulicę od ogródka i drzwi wejściowych. Obserwowałem każde okno budynku. Na piętrze zauważyłem kobietę, która po prostu patrzyła na mnie. To była pewnie matka Lucjana. Patrzyła, jakby na mnie czekała. Mimo że ją zauważyłem, nawet nie drgnęła. Jej zmęczone i zniechęcone spojrzenie wywoływało ciarki na plecach. Wyglądała jak zjawą nawiedzająca ten dom. Jak osoba, która chciałaby uciec, ale nie może, bo coś ją trzyma siłą. Wydawało mi się, że ona doskonale wie, co zamierzam zrobić. Patrząc na nią, wiedziałem, że nie ma już odwrotu. Pozostało mi jedynie podejść do drzwi wejściowych i zadzwonić.

Firanka w górnym oknie poruszyła się, po czym kobieta zniknęła. Wyszedłem z samochodu i trzasnąłem trochę mocniej starymi drzwiami. Odgłos uderzenia odbił się echem od murów osiedla, a ja przenikałem przez ten odgłos i szedłem w stronę szarego domu.

Dzień dobry, jestem Kacper. Linda zeznawała wczoraj w mojej sprawie. Mógłbym porozmawiać o Lucjanie? – improwizowałem, co powiedzieć.

Widziałem przed sobą jedynie duże, brązowe drzwi.

Gdybym ja coś takiego usłyszał, na pewno zatrzasnąłbym zamek i zadzwonił na policję.

Zrobiłem kolejny krok w stronę piętrówki.

Nie wyobrażam sobie pracy jako detektyw, nie wytrzymałbym takiej adrenaliny.

Starałem się przemóc, ale moje nogi zwalniały. W głowie kłębiły mi się tysiące myśli. Każda następna była gorsza od poprzedniej.

Kobieta otworzy drzwi. Przedstawię się. Na pewno słyszała o morderstwach i mojej rozprawie. Zamknie mi drzwi przed nosem, a ja niczego się nie dowiem.

Kobieta otworzy drzwi. Wpuści mnie do środka, kiedy się przedstawię, ale zadzwoni na policję.

Spojrzy przez judasza. Pozna mnie i przygotuje jakąś broń. Może mnie zaatakować.

Cholera. Musiałem przestać myśleć i zacząć po prostu działać.

Zerknąłem ponownie w stronę okna. Znowu tam była. Wpatrywała się we mnie.

Dom stał przy głównej ulicy. Otaczał go brązowy płot, na którym czas odcisnął już swoje piętno. Stara furtka skrzywnęła przeraźliwie, jakby to ona, a nie dzwonek, chciała zasignalizować czyjeś przybycie. Zamykało się ją przy pomocy kawałka blaszki przykręconego na jej szczycie. Przeszedłem trzy metry popękany, krzywym chodnikiem i stanąłem naprzeciw drzwi wejściowych. Jeszcze mogłem się wycofać. Mogłem, ale zamiast tego stałem wpatrzony w dzwonek.

Zatrzymałem dłoń centymetr przed przyciskiem sygnalizującym moje przybycie.

Zadzwoić czy nie? – walczyłem z myślami.

Zadzwoiłem. Usłyszałem hałas. Dźwięk uginających się desek na schodach. To na pewno ta kobieta. Musiała już do mnie iść. Uśmiechnąłem się, aby zrobić dobre wrażenie.

– Dzień dobry. Zastałem może Lucjana? – zapytałem z takim uśmiechem, jaki tylko mogłem z siebie wydusić.

– Lucjana? W jakiej sprawie? – zapytała i przyjrzała mi się nieufnie.

– Jestem Dorian, ojciec Tymona, kolegi Lucjana. Od niedawna chodzą razem do klasy.

– Ooo... Lucjan nie mówił, że ma nowego kolegę. – Matka chłopca się uśmiechnęła. – Przeniósł się na ostatni rok przed końcem szkoły? Dlaczego? – Wyraźnie nie dowierzała.

– Musieliśmy się przeprowadzić. Dostałem nową pracę i nie było wyjścia. Wie pani, jak jest.

– Na pewno chodzi o Lucjana? Nie mówił, że jest ktoś nowy u niego w klasie.

– Dziwne, bo Tymon opowiadał, że poznał Lucjana i się kolegują.

– Ostatnio faktycznie jest trochę zalatany. Może nie miał głowy do tego, żeby mi powiedzieć. W takim razie spóźnione witamy w naszym mieście – przywitała mnie ciepło. – Nie ma niestety Lucjana, jest na treningu.

– Na treningu? Zawsze o tej godzinie tam jest?

– Tak. Treningi ma trzy razy w tygodniu.

– Dorian miał się ze mną skontaktować po szkole i nie daje znaku życia. Trochę się martwię. Dzwoniłem do niego, ale ma wyłączony telefon. Wiem, że może trochę wariuję, ale Dorian trudno zniósł przeprowadzkę i...

– Niech pan wejdzie, zaraz zadzwonię do Lucjana. Dorian na pewno z nim jest. Proszę się nie martwić.

– Dobrze, dziękuję – odparłem, uświadamiając sobie, że popełniłem błąd.

A jeśli Lucjan odbierze i wyda się, że kłamię?

Zamknąłem za sobą drzwi i rozejrzałem się. Dom nie był duży. W korytarzu znajdowały się jedynie dwa przejścia. Jedno z nich prowadziło do skromnego salonu, drugie do kuchni.

– Ładnie tutaj – powiedziałem, wchodząc do pokoju gościnnego.

Pomieszczenie było zagracone pamiątkami z życia rodziny Sopniewskich. Nadmiar komód i witryn pomniejszał pokój. Nawet nad małym, starym telewizorem zamocowano kolejną półkę, aby zyskać trochę miejsca na kolejne pamiątki. Dom wyglądał jak wehikuł czasu, przez

który rodzina mogła wracać do lepszych wspomnień z życia. Po wyglądzie mieszkania wywnioskowałem, że lepsze życie rodziny Sopniewskich dawno się już skończyło. Jakby jej członkom zależało, żeby zostać w przeszłości zamiast żyć. Zbliżyłem się do pierwszego zdjęcia, przedstawiającego szczęśliwą rodzinę.

Kobieta na zdjęciu to na pewno Barbara – pomyślałem. – Chłopiec po jej prawej stronie to Lucjan.

Na zdjęciu była jeszcze jedna dziewczynka. Dziewczynka, która kogoś mi przypominała. Zmarszczyłem brwi. Już ją gdzieś poznałem. Byłem pewien. Dziewczynka miała jakieś pięć lat, ale te rysy twarzy. Zerknąłem ponownie na Barbarę. Ten uśmiech, spojrzenie, ciało... Zupełnie jak... Dziewczynka... Wróciłem myślami do dnia, kiedy wróciłem do Polski. Restauracja. Odłożyłem ramkę na półkę. To Amanda. Byłem w szoku. Zamiast żyć dalej, utknęli w chwili, kiedy stracili córkę. Nigdzie nie widziałem nowych zdjęć. Te, które stały, były pokryte grubą warstwą kurzu. Lucjan chciał mnie zrobić w morderstwo, żeby zemścić się po śmierci Amandy? Jeśli tak, to Barbara mnie zna. Musi mnie znać. Dopiero dotarło do mnie, że Amanda nosi takie samo nazwisko. Dlaczego wcześniej nie przyszło mi to do głowy?

Z Amandą spotykałem się trzy tygodnie, ale nie miałem okazji poznać jej rodziców. Bardzo mało o nich mówiła. Kiedy próbowałem poruszyć ten temat, od razu starała się go zmienić. Nie miałem pojęcia, że Lucjan był jej bratem. Matkę Amandy poznałem dopiero, przedstawiając się jako

Dorian. Nie zeznawała w mojej sprawie i nie było jej na rozprawie. Miałem ochotę powiedzieć jej o wszystkim. Przyznać się, że byłem oskarżony o morderstwa i że spotykałem się z Amandą. Miałem ochotę, ale nie mogłem tego zrobić. Przez głowę przeszły mi tysiące myśli. Zachowanie Lucjana miało sens. Może wiedział, że się z nią spotykałem, i przez to starał się o moje skazanie?

Kobieta, przed którą stałem, nie mogła o niczym wiedzieć. Nie wyglądała na kogoś, kto by się mnie bał.

– Dziękuję, staraliśmy się, żeby było jak najbardziej domowo. Zaraz zadzwonię do Lucjana. Może kawy?

– Tak, poproszę.

– Pójdę do kuchni, zaraz wracam. A swoją drogą jest pan bardzo młody jak na mężczyznę, który ma syna w tym wieku.

– Takie rysy twarzy – zaśmiałem się. – Każdy mi to mówi.

Kobieta wyszła, zostawiając mnie samego w pokoju. Kiedy znikła, podszedłem do telewizora. Na półce nad nim stały dwa zdjęcia. Pierwsze z nich było zdecydowanie starsze, ze ślubu. Małżeństwo miało na nim jakieś dwadzieścia lat. Wziąłem do ręki drugą z fotografii.

– To musi być on – wyszeptalem, przyglądając się uważnie.

Zdjęcie musiał wykonać ojciec Lucjana, bo nie było go na nim. Na białym tle siedziała pani Sopniewska z Lucjanem i Amandą. Lucjan mógł mieć wtedy jakieś pięć lat.

Rozejrzałem się po pokoju, żeby poszukać jego aktualnej fotografii. Na ścianach wisiały inne zdjęcia dzieci, a także ramki z dyplomami i medale za mistrzostwa w piłce nożnej i w biegach.

Spojrzałem ponownie na zdjęcie nad telewizorem. Analizowałem twarz Lucjana, próbując zrozumieć, dlaczego to zrobił. Spojrzenie miał takie niewinne... Może to jego ojciec za tym siedzi? Możliwe, że to właśnie on był zły, a jego syn starał się to ukryć. Dziwne wydawało się to, że nigdzie nie mogłem znaleźć fotografii ojca. Musieli go za coś obwiniać albo może po prostu im się nie układało?

Rzuciłem okiem na resztę zdjęć. Lucjan, Amanda – było ich mnóstwo. Kilka zdjęć ich matki i... udało się, znalazłem. W pokoju zauważyłem tylko jedno zdjęcie ojca.

Odwrociłem się w stronę korytarza – matka Lucjana jeszcze nie wracała. Wyciągnąłem nerwowo zdjęcie z ramki i schowałem do kieszeni. Miałem mało czasu. Za chwilę mogła wrócić. Dowiedzieć się, że Lucjan nie zna żadnego Tymona. Musiałem być przygotowany na ucieczkę. Rzuciłem okiem w stronę wyjścia, drzwi na korytarz były otwarte. Kobieta chyba jeszcze przebywała w kuchni. Rozejrzałem się po reszcie pokoju. Znajdowało się tam mnóstwo drobiazgów, w których trudno było się odnaleźć, przynajmniej mnie.

Pokój Lucjana pewnie jest na górze.

Zdążę tam zajrzeć czy może wkraść się, gdy nikogo nie będzie? – biłem się z myślami. – Nie, nie zdążę, przyjadę tu później. Teraz salon.

Podszedłem do starej komody, na której stał telewizor. Otwarłem drzwiczki. Zacząłem przewracać stertę dokumentów. Rachunki, umowy...

Czego ja właściwie szukam?

Miałem coraz mniej czasu, niebawem mogła wejść. Przewracałem stertę niepotrzebnych papierów w poszukiwaniu czegokolwiek.

– Hmm... – odchrząknęła matka Lucjana.

– O, już pani jest.

– Co pan robi?

– Ja tylko... Zaciekały mnie zdjęcia. Dzwoniła pani do Lucjana?

– Tak, dzwoniłam. To jak ma na imię pański syn? – zapytała dociekliwie kobieta.

– Dorian. Już mówiłem.

– Dorian? Mówił pan, że Tymon.

– To znaczy... Dorian to mój drugi syn. Musiałem się pomylić.

– Dlaczego grzebie pan w moich pamiątkach? Otworzył pan komodę tylko po to, aby zobaczyć zdjęcia?

– Nie, ja nie... Ja tylko oglądałem.

– Po co pan tu tak naprawdę przyszedł? – Wyglądała na przestraszoną. W ręce cały czas trzymała telefon.

– Martwię się o Dorian, mówiłem już pani.

– Lucjan nie zna żadnego Dorian ani Tymona. Po co pan tu przyszedł?!

– Musiała zająć jakaś pomyłka.

– Może mi pan przypomnieć, jak ma pan na imię?



W napływie nerwów zapomniałem, jak się przedstawiłem. Na chwilę zamilkłem i próbowałem odtworzyć początek spotkania, żeby nie popełnić błędu.

– Jestem Maks – powiedziałem niepewnie.

– Mój mąż zaraz tutaj będzie. Dobrze by było, gdyby pana nie zastał. Inaczej mogłoby to się źle skończyć.

– Już idę.

Byłem zmieszany, nie wiedziałem, co mam myśleć i mówić.

Patrzyłem na nią z niepewnością. Nawet nie zauważyłem, kiedy wróciła z kuchni i co widziała. Jej ton zmienił się diametralnie z miłej i uprzejmej matki na ostrożną, pełną obaw kobietę. Bałem się poruszyć.

Kobieta stała wyprostowana, ręce schowała za plecy. Dawała mi do zrozumienia, że trzyma za sobą coś, co może wykorzystać przeciwko mnie. Stała dwa metry przede mną. Staralem się utrzymać ten dystans. Zrobiłem kilka kroków w lewo i obszedłem dookoła kanapę stojącą na środku salonu. Kobieta szła moimi śladami. Podeszła do komody, którą niedawno otwierałem, i przytknęła drzwi. Telefon trzymała w ręce za plecami. Odłożyła go obok telewizora, ale mimo to jej ręce nie były jeszcze puste.

Westchnąłem z bezsilności. Próbowałem wymyślić coś sensownego, żeby załagodzić sytuację.

– Bardzo współczuję śmierci pani córki.

Po co to powiedziałem? Nie mogłem niczego tym wskórać. Kobieta zmarszczyła brwi.

– No tak. – Szła wolno w moją stronę. – Kochana Amanda. Nie była niczemu winna.

Doszedłem już do drzwi prowadzących na korytarz. Były przyknięte. Nie odwracając się od kobiety, odepchnąłem drzwi plecami.

– Więc po co pan tak naprawdę przyszedł, panie...

– Dorian, wystarczy Dorian.

Miałem nadzieję, że drzwi wyjściowe nie są zamknięte. Podeszedłem do nich i po omacku sięgnąłem klamkę. Były zamknięte. Kobieta podeszła. Dzieliło ją ode mnie pół metra.

– Pana syn na pewno wróci, powinien pan być w domu – wyszeptała na tyle głośno, żebym był w stanie usłyszeć.

Wyciągnęła zwawo rękę zza pleców i złapała za klucz, który był w drzwiach. Odskokczyłem.

– Dziękuję za pomoc – wydusiłem. – Nie będę już pani nachodził.

– I słusznie. Niech pan sprawdzi najpierw w domu.

Kobieta przekręciła zamek. Stałem przy futrynie, uważając na jej drugą rękę. Nadal trzymała ją za plecami. Nie byłem w stanie niczego dostrzec. Uśmiech nie schodził mi z twarzy. Starąłem się zachowywać jak najbardziej naturalnie, ale sztuczność wygrywała w każdym calu. Miałem uciec, a mimo to wdałem się w niepotrzebną dyskusję.

– Dobry pomysł – powiedziałem, łapiąc za klamkę drzwi.

Kobieta podniosła drugą rękę i oparła się o wieszak. Trzymała w niej nóż kuchenny. Zamarłem. Nie myślałem o tym, jak wydostać się z jej domu. Nie myślałem o niczym. Sparaliżowany patrzyłem na nóż. Kuchenny nóż.

– Dokładnie. Gdzie pan mieszka?

– Niedaleko. Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia.

Stała w miejscu, kiedy wyslizgnąłem się na podwórko. Patrzyła, jak udaję się z powrotem do samochodu i odjeżdżam.

Coś wydarzyło się w kuchni. Nie chciałem ryzykować i przyspieszyłem kroku. Wydawało mi się, że zorientowała się, że byłem oskarżony. W końcu jedną z ofiar mordercy była jej córka. Staralem się zmienić wygląd przed przyjazdem, ale wiem, że dużo to nie dało. Zaczęła na mnie patrzeć tak jak ci wszyscy, którzy wiedzą lepiej, kto jest mordercą.